№ 4. 23. Stycznia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Żałoba narodowa

w okresie manifestacyjnym.

Ustęp z dzieła Berga p. t. *Zapiski o polskich zagoworach i wozstanjach.*

Czterotomowe dzieło rosyjskiego pisarza, Berga, poświęcone historji naszych spisków i powstań — jakkolwiek pisane w duchu carskim — zawiera wiele cennych i ważnych szczegółów. Fakty zaś, świadczące na korzyść naszą, posiadają tem bardziej przekonywującą siłę, że przytacza je człowiek, wrogo usposobiony dla ruchów rewolucyjnych w ogólności, a dla naszych, jako skierowanych przeciwko caratowi, w szczególności. Faktów takich, mówiących o potędze moralnej narodu, który w stanowczych chwilach umiał być wielkim i ofiarnym, nie brak w dziele Berga. Na tem miejscu wszelako ograniczymy się jedynie do przytoczenia ustępów, omawiających żałobę narodową z okresu manifestacyjnego. Przypomnienie tej niedawnej przeszłości, w której Europa nazywała nas z całą słusznością „Wielkim Narodem w żałobie", wydaje się nam pożytecznem i wielce na czasie.

* * *

„Od tej chwili — mówi Berg, kończąc opis manifestacji z dnia 27. Lutego, uświęconej, jak wiadomo, krwią pięciu ofiar — poczęły dziać się w mieście rzeczy niezwykłe. Z rozporządzenia tajemniczej jakiejś władzy obito najpierw czarnem suknem w europejskim hotelu ściany pokoju, w którym złożone były ciała zabitych, a w domu Zamojskiego takież sukno okrywało nawet drzwi z wewnątrz dziedzińca. Ciż sami nieznani ludzie przywieźli do hotelu kilka pudeł czarnej krepy, pociętej na wązkie paski, jakie się noszą zwykle podczas żałoby na rękawie. Wszystkim Polakom, którzy przychodzili nawiedzić trupy, przyozdabiano tą krepą lewy rękaw. Toż samo miało miejsce na ulicach: snuły się tam tajemnicze jakieś postaci, zapytując przechodniów: „Czyś Polak?" — „Polak!" — „A więc daj lewą rękę!" Ręka się wyciągała i pytający zawiązywał na niej krepową wstęgę. Do wieczora wszyscy mieszkańcy Warszawy mieli już taką żałobną odznakę." *)

O pamiętnym w martyrologji naszej dniu pogrzebu pięciu ofiar tak opowiada Rosjanin Berg:

„Nadszedł dzień 2. Marca. Od samego rana Warszawa przyobleкła się w grubą żałobę, przystroiła majestatyczną ciszą i powagą: rzekłbyś, że miał nastąpić pogrzeb kilku zmarłych jednocześnie królów.

Z okien wychodzących na ulice, któremi kondukt miał przeciągać i z niektórych balkonów wywieszono czarne sukna z białymi szlakami i białymi przez środek krzyżami...

Zamiast wojska, dla rycerskiego przyozdobienia uroczystości pogrzebowej, jechało na czele kilku jeźdźców z ulubionej przez miasto straży ogniowej...

Dalej postępowały sieroty i starce Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, uczniowie różnych zakładów naukowych, wszystkie cechy ze swemi chorągwiami, w żałobnę wstążki przyozdobionemi. Obok powiewały sztandary z herbami Polski i Litwy.

Następnie szło duchowieństwo katolickie, w ślad za którem najznakomitsi obywatele nieśli zwłoki poległych; duchowieństwo izraelickie w narodowym stroju, z nakrytemi, według wymagań swego obrządku, głowami, postępowało bezpośrednio za trumnami.

Kondukt zamykali druciarze w obdartych swych huńkach, z kapeluszami o szerokich skrzydłach w ręku. Nie brakło, słowem, ani jednego stanu, zamieszkującego Warszawę.

...Liczne grono kobiet prosiło o pozwolenie niesienia choćby jednej z trumien, lecz dano im zamiast trupa tylko olbrzymi wieniec cierniowy, „godło zwycięztwa i niewinności," jak się wyraziło jedno z pism.

Tłum ludu, który towarzyszył pogrzebowi, dochodził, podług jednych gazet, do stu, podług innych, do stu sześdziesięciu tysięcy osób.

---

*) Tom I. str. 405.

...Wracając do miasta, tłum pozrywał afisze teatralne na ulicy Wierzbowej. To samo powtórzyło się i dnia następnego. Zaczynała się żałoba, powstrzymywanie się od wszelkich zabaw. Po mieście krążył okólnik arcybiskupa Fijałkowskiego, jak utrzymywano, zalecający wszystkiem mieszkańcom Polski przywdzianie żałoby na czas nieograniczony. Kobiety miały przywdziewać białe szaty jedynie w dzień ślubu. Wszyscy bez wyjątku, wielcy i mali zastosowali się do tego okólnika: wszyscy włożyli żałobę. Uczenice rozmaitych zakładów naukowych przyszły do szkoły na drugi zaraz dzień w grubej żałobie, tłumacząc na pytania zwierzchności szkolnej, że „tak być powinno, bo Ojczyzna znajduje się w nieszczęściu!“ A gdy wychowanicom instytutu Puławskiego rozkazano zdjąć czarne sukienki, bardzo wiele dziewcząt zrobiło sobie atramentem czarne obwódki na szyi i rękach, nazywając takowe „żałobą, której nikt zdjąć nie zdoła“. I w Warszawie niektóre uczenice groziły przełożonym, zabraniającym żałoby, że „pójdą za przykładem Puławianek“ *).

.. Rosjankom jedynie wolno było, odstępując nieco od ogólnej żałoby, nosić — zamiast czarnych — ciemno-fioletowe suknie; te wszelako z rosyjskich pań, które się odważały korzystać z przysługującego im prawa, ścigane bywały ironiczną nazwą „kochanek arcybiskupa Fijałkowskiego“, na podstawie podobieństwa obu barw fioletowych.

Niezwykły, i oryginalny widok przedstawiał zwłaszcza w owych czasach Saski ogród w niedziele i święta między pierwszą a trzecią i piątą a szóstą godziną po południu, kiedy to Warszawianie mają zwyczaj „spacerowania“. Tłumy kobiet w grubej żałobie, w czarnych sukniach i białych mankietach, ze smętnym wyrazem twarzy, przesuwały się jak cienie, robiąc wrażenie zakonnic, uwolnionych przez przełożoną klasztoru na przechadzkę. Samo się przez się rozumie, że i mężczyzni nosili również na podobieństwo zakonników czarne tylko ubranie, a niektórzy mieli białe wypustki na kołnierzach u surdutów lub czamarek. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe, że nawet lalki małych dziewczynek świeciły żałobnym strojem! Obręcze, służące dzieciom do zabawy, białej barwy, owijała dokoła czarna taśma, aby i tutaj nie raził wzroku jakiś bezprawny, nieżałobny kolor. Kapelusze kobiet zdobiły wyłącznie żałobne kwiaty, jeżeli wogóle bywały one przybierane kwiatami. Na wystawach modnych sklepów bławatnych znajdowały się jedynie żałobne materje: czarne, szare, białe. Kwiaty sprzedawano również tylko żałobne: gustownie i nader wykwintnie robione, szare i czarne róże, astry, lilje z białymi wąsami i innymi białymi dodatkami dla podniesienia efektu...

M. W.

*) Ibid. str 439 do 443.

Żydzi o kwestji żydowskiej.

III.

We wstępie obecnego rozdziału poprawić muszę jedną pomyłkę, która się wkradła do rozdz. I. obecnego artykułu. Uwagi godny artykuł „kwestja żydowska“, umieszczony w kilku numerach

Wilja Bożego Narodzenia

przy

Morskiem Oku.

(Dokończenie.)

Turnie otaczające Morskie Oko iskrzyły się w blaskach wschodu, jak olbrzymie stosy rozpalonej miedzi, kaptur Mnicha świecił złotem. Na białem jeziorze śniegu zalegał cień głęboki.

Przetrzymawszy tę piekielną noc, nie mieliśmy już na co czekać tutaj. Należało spieszyć czemprędzej na dół dowiedzieć się o losie górali i zapasów naszych. Opuściliśmy tedy schronisko i Morskie Oko, ruszając w drogę, kiedy w dali wśród kosodrzewin ukazał się jeden z górali naszych z pakunkiem na plecach, idący szybko ku nam. Rozległy się grzmiące okrzyki radości i wiwatowe strzały z rewolweru, które huczącem echem odbiły się w górach. Jan Klikuszowian nadszedł wkrótce i wróciliśmy wszyscy napowrót do opuszczonego przed chwilą schroniska. Góral drżał od zimna; opowiedział nam dzieje ich nocy. Konie wczorajszego wieczoru, gdyśmy ich wyprzedzili, dotarły w okolicę szałasów tylko i dalej już iść stanowczo nie mogły mimo tego, że szły całkiem luzem. Górale zatem wrócili z nimi do sań i tam je przywiązali, okrywszy derkami. Poczem zabrali na plecy nasze zapasy i ruszyli za nami ku Morskiemu Oku. Ale mimo to, że był już po nas ślad na śniegu, pobłądzili w końcu, wleźli do Rybiego potoku, błądzili w lesie i kosodrzewinie i w końcu zrozpaczeni, nie mogąc trafić, powrócili do sań, gdzie napaliwszy na śniegu ogień, całą noc przy nim przebyli, odziębiwszy nogi i twarze. Rano Jan ruszył do nas z jednym pakunkiem, Kuba zaś został przy koniach. Pakunek ten na nieszczęście zawierał rzeczy, które miały być dopiero przyrządzone, a że naczynia odpowiednie pozostały w innych pakunkach przy saniach, więc nie wiele mieliśmy pociechy. Zjadłszy wędliny i gotowe już ryby (na wczorajszy wieczór przeznaczone), popiwszy herbatę ocukrzoną tym razem, uczuliśmy jednak zaraz wstępującą

„Kraju“ i podpisany literami X. Y. Z., nie pochodzi, jak mylnie podałem, z pod pióra wybitnego publicysty pochodzenia żydowskiego, lecz napisany został przez p. Bartoszewicza z Krakowa. Moim zamiarem wszakże było pierwotnie i jest obecnie poświęcić słów parę jedynie rozdziałowi VII. tej pracy, gdzie autor streścił poglądy na kwestję żydowską jednego z wybitnych żydów galicyjskich, posła dra B. Goldmana.

Dr. Goldman jest, jak wiadomo, jednym z inicjatorów ruchu asymilacyjnego w Galicji. Podniesienie sztandaru polskości w czasie, kiedy masa żydów galicyjskich była pogrążona w swej przedwiekowej żargonowej wyłączności a nieliczna inteligencja żydowska była niemiecką, postawiło dra Goldmana odrazu wysoko na widowni krajowej, dopomogło mu wejść do Sejmu i zająć w nim również wybitne miejsce.

W rozmowie z p. Bartoszewiczem wypowiedział też dr. Goldman kilka zdań godnych uwagi, dopełniających rozumowania p. Feldmana. Uznaje on asymilację żydów ze społeczeństwami, śród których żyją, za rzecz konieczną, za „naturalne zadanie wspólnej pracy nad dobrem ogółu“. „Społeczeństwa chrześcjańskie muszą się na asymilację z czasem stanowczo zgodzić, bo kwestji żydowskiej inaczej nie załatwią“. Jak dużo brakuje tym słowom do jasności i wyrazistości, tego dr. Goldman zdaje się nie podejrzywać. Bo przedewszystkiem: co jest asymilacja? Co mają żydzi porzucić, a co przyjąć, by się mogli uważać za asymilowanych? Czy porzucenie chałatów, cyces, pejsów i jarmułek, a w dodatku żargonu i niemczyzny będzie dostateczną miarą asymilacji? Sądzimy, że sam dr. Goldman tak sobie rzeczy nie przedstawia. Ani kostjum ani język, nie mogą przecież stanowić ściany między mieszkańcami jednego kraju, dzielącej ich na uobywatelonych i nieuobywatelonych. Bo inaczej dlaczegożbyśmy nie mieli nprz. żądać takiej samej asymilacji od Rusinów, chodzących w odmiennym od polskiego kostjumie i mówiących innym językiem? Dlaczego niema w naszym kraju piekącej kwestji uobywatelenia i asymilacji Niemców-kolonistów, mimo że ci mają swój osobny strój, język, swe szkoły, osobne wyznanie i karmią się płodami literatury, sprowadzanej z Chebu lub Liberca? Oczywiście tkwi tu jakiś inny haczyk, którego ani dr. Goldman ani jego interlokutor nie dojrzeli.

Asymilację uważa dr. Goldman za rzecz taką, którą ma przeprowadzić społeczeństwo chrześcjańskie, a nie sami żydzi. „Gdyby do żyda w odpowiedni sposób umiano przemawiać, gdyby go nie goniono, gdyby nim nie pogardzano, toby przecież przy wzroście oświaty pojął z czasem, że łączy go wspólny interes z ludnością chrześcjańską, wśród której od wieków zamieszkuje. Powiesz pan, że stoją temu na przeszkodzie wady żydowskie. Prawda, że człowiek rozumny stara się wady wykorzenić, lecz nie zostawiać ich w spokoju, aby jeszcze więcej wzrosły“. Z tych słów wyrzeczonych w prostocie ducha, widzimy:

1) że żydzi w Galicji są elementem prześladowanym i pogardzanym;

2) że nie pojmują łączności swych interesów z interesami reszty ludności krajowej, są więc niejako cudzoziemcami w kraju;

3) że na prześladowanie i wzgardę zasłużyli przynajmniej w części swemi wadami, których dr.

---

w nas otuchę i nowe siły. Bury przyrządzał moździerz do strzału, ja zjechałem na ciupadze po śniegu do Morskiego Oka, pragnąc piechotą przejść się po jego powierzchni. Warstwa śniegu okrywająca lód niezbyt gruba; mierzyłem ją w kilkunastu miejscach, wynosiła na grubość 50 cm. Lód miał powierzchnię z lekka falistą, jakto z powierzchni śniegu widzieć się dawało. Powierzchnia jeziora całego wydaje się bez porównania mniejszą niż w lecie; przyczyna leży w złudzeniu optycznem zwykłem o tej porze w górach. Zmierzyć dokładnie szerokość jeziora krokami byłoby trudno, bo zaspy śniegowe zawalające brzegi nie pozwalają odróżnić granicy między brzegiem a lodem. Upust jeziora ku Rybiemu potokowi zawalony soplami lodu i śniegiem. W górze nad Czarnym stawem widać wśród Mięguszowieckich prostopadłych ścian dwa zamarzłe wodospady. Spad wody od Czarnego stawu do Morskiego Oka niewidoczny zupełnie pod śniegami — a szumu wody nie słychać wcale. Echo po strzałach daleko słabsze w zimie niż w lecie nad jeziorem.

Śladu lawin, lub bloków granitowych odłupanych mrozem nie spostrzegłem całkiem na jego powierzchni. Temperatura na jeziorze niższa niż na twardym gruncie, dzięki masom lodu, pokrywającym tę wodną przepaść. A taka martwa, mogilna cisza zalega to lodowe pole, taki przejmujący smutek spoczywa na tej białej marze jeziora, że w duszy wędrowca budzi się gwałtowna chęć najszybszego powrotu do ludzi z tej ponurej, lodowatej mogiły, pod którą śpi snem zimowym tęczowa „źrenica Tatr“.

Od schroniska padł strzał z moździerza, nie budząc tak silnego grzmotu ech jak w lecie. Towarzystwo zabierało się do odwrotu. Wróciłem na werandę schroniska, dla podpisania na jego ścianie imion uczestników naszej tatrzańskiej wilji. W schronisku humory poprawiły się — dawały się nawet słyszeć urywane pieśni, kolendy i okrzyki. O wpół do 12-stej ruszyliśmy z powrotem. Z grobli Morskiego Oka spojrzałem raz ostatni na białą marę...

To jeden z tych widoków, z tych widziadeł, które za pamięcią naszą idą wiernie, jak cień własny, przez całe życie.

Goldman zresztą bliżej nie określa, a których interlokutor jego nie ciekaw;

4) że ludność chrześcjańska powinna podjąć się także moralnego wychowania żydów, tj. wytępienia ich wad. Jakimi sposobami? O tem również ekspektoracje dra Goldmana nie dają nam jasnego wyobrażenia. Zaznacza on jedynie, że „cała sprawa z rolnictwem żydowskiem, dla znających miejscowe stosunki, jest czystą fantazją", „nie wierzy w żydów rolników. bo do rolnictwa potrzeba mieć nietylko odpowiednie siły, ale i ochotę'. Daruje nam dr. Goldman, jeżeli aksjomat jego rozszerzymy nieco i powiemy, że nie tylko do rolnictwa, ale i do tego, by w ogóle być uczciwym i pożytecznym człowiekiem, trzeba mieć siły i ochotę". Od tego jest wychowanie. by podrastającym pokoleniom do takich rzeczy dodawać siły i ochoty. Jeżeliby społeczeństwo chrześcjańskie wzięło na serjo jego słowa o obowiązku wychowania żydów, i oddawało np. dzieci nie zamożnych żydów na wieś na służbę *do chłopów,* to nie wątpimy ani na chwilę, że po przebyciu kilku lat praktyki rolniczej w stajni, stodole i na niwie, żydzi byliby takimi dobrymi rolnikami i robotnikami, jak i chłopi. Że praktyka młodzieńców żydowskich u obywateli żydów jest czczą farsą, a nie szkołą rolnictwa, w to chętnie wierzymy.

Bardzo byśmy radzi posłyszeć od dra Goldmana, jak ma przemawiać społeczeństwo chrześcjańskie do żydów, by z nich zrobić prawych obywateli i jak w ogóle ma postępować, by wykorzenić wady żydowskie. Niestety, sam dr. Goldman. mimo że stanął tu na drodze dość prostej i radykalnej, zaraz że ją porzucił. Zapytany, co uważa obecnie za najpilniejszą potrzebę w kwestji żydowskiej w Galicji, odrzekł:

„Nic innego, jak tylko szkołę rabinów", dodając jako warunek, by szkoła ta istniała w Galicji i była polską. Wówczas rabini, „ci moralni przywódcy ludu, wykształceni w duchu obywatelskim, mogliby tysiąc razy więcej zrobić, niż wszelkie komisje, ankiety, komitety". Bez kwestji, bo komisje, ankiety i komitety mogą tylko zbadać rzecz i wskazać, co robić należy. Ale jeżeli rabini wszystko zrobią, to po cóż dr Goldman długo i szeroko prawił o obowiązkach społeczeństwa chrześcjańskiego wychowywania żydów i wykorzeniania ich wad? Sądzimy zresztą, że dr. Goldman stanowczo przecenia możliwy wpływ rabinów. Kazaniami i katechizacjami — boć to jest teren działania rabinów — choćby i najbardziej obywatelskiemi. społeczeństwa przerobić nie można; tu potrzebne są odpowiednie instytucje, oświata, współdziałanie innych czynników społecznych. — Musimy tu jeszcze słówko powiedzieć o wrzekomych prześladowaniach żydów przez chrześcjan w Galicji. Dr. Goldman zlekka tylko potrącił o ten temat; p. Feldman poświęcił mu także słów kilka godnych przytoczenia. „Gdy inne społeczeństwa europejskie wkroczyły na dziedzinę produkcji i umysłowości mieszczańskiej — są dziwaczne nieco słowa p. Feldmana — zastały tam żydów bardzo mało. . Dlatego było połączenie się z żydami, współpracownictwo żydów i ich kapitałów rzeczą bardzo pożądaną. Stąd też łatwość asymilacji we Francji, Włoszech. Anglji i Niemczech. U nas atoli, gdy społeczeństwo polskie wkroczyło na pole produkcji, przemysłu i handlu, zastało tam już mnóstwo żydów, liczne, a nieraz

---

Powrót łatwiejszy i weselszy. Koło szałasów oglądaliśmy ślady górali naszych błądzących wczoraj. gdy wybrali się do nas w nocy z rzeczami. Kołowe ślady po śniegu biegły istotnie ku Rybiemu potokowi, a w drugą stronę ku Opalonemu, od miejsca skąd zrozpaczeni wrócili, było 20 minut drogi tylko do Morskiego Oka. Przy saniach i koniach naszych stanęliśmy w godzinę. Trunki i reszta zapasów tu pozostawionych — wszystko zmarzło jak bryła lodu. Nie mniej zmarzniętym wyglądał Kuba Gał, po nocy przepędzonej na strasznym mrozie w lesie przy ogniu. Konie, po brzuchy w śniegu, dygotały od zimna. Zmarzłe piwo musieliśmy topić w kotle na ogniu przed wypiciem. Wreszcie ruszyliśmy dalej. Panie wsiadły do sań, konie na dół szły z większą fantazją, niż wczoraj pod górę. My szliśmy piechotą. Pogoda wspaniała — a tak przyzwyczailiśmy się już do zimna, że całą drogę od Morskiego Oka do Łysej odbyliśmy tylko w serdakach. Futrami naszemi okryto panie na sankach.

W Łysej Dziadonie powitali nas z pewnem zdumieniem. Tutaj dopiero nasze panie mogły przyrządzić przeznaczoną na wczoraj wiec ór biesiadę. Ogrzani i syci wesoło zabraliśmy się o 7-mej wieczór do dalszego powrotu przez Hurkotne, Głódówkę i Bukowinę do Białki, teraz wszyscy już na saniach. Księżyc oświecił ciemne lasy, mróz stężał straszliwie, najmniejszego skrawka mgły nie było na czystem, wyiskrzonem niebie i górach. Tak jak wczoraj, konie nie mogąc wstrzymać sań, rwały na dół galopem, wywalaliśmy się w śnieg wśród powszechnej radości. Z Głodówki mieliśmy widok Tatr w księżycowem oświetleniu. O 11-stej wieczór stanęliśmy wreszcie na nocleg w gościnnej chacie pani Bury.

A kiedym w ciepłej, ogrzanej izbie ułożył się do tak upragnionego i wygodnego snu, długo jeszcze majaczyła mi przed oczyma owa ponura, zimą wiejąca, milcząca głucho — biała mara jeziora...

Nowy Targ 28. XII. 1892

F. H. Nowicki.

silne zajmujących stanowiska — i tu nastąpił błąd kapitalny. Zamiast powiedzieć: pracujmy razem, połączmy nasze wpływy z waszemi kapitałami, nasze zasoby z waszą inteligencją i doświadczeniem, wykrzyknęło społeczeństwo: „Precz stąd, między nami walka!“ (C. d. n.)

Iwan Franko.

Młodzież akademicka w Romunji.

(Dokończenie.)

Przed kilku miesiącami puścili w świat Romuni dzieło pod znaczącym tytułem: „Sprawa rumuńska na Węgrzech i w Siedmiogrodzie“.

Jest to książka, która bogactwem treści, podniosłością myśli, żarem uczuć porywa i zniewala sobie każdego czytelnika i dla tego z pewnością nie ulegnie zwykłemu losowi pism ulotnych i nie pójdzie w zapomnienie, lecz z pewnością kiedyś posłuży za dokument, gdy sprawa Romunów transylwańskich przyjdzie na porządek dzienny. Należałoby naszą publiczność obznajomić choćby z temi ustępami rozprawy, które się odnoszą do krzywd, jakich doznają Słowacy, a pewnie bezpodstawne sympatje nasze dla Madjarów skurczyłyby się mocno. Odtąd walka wre dalej. Młodzież korzysta z każdej sposobności, aby sprawa współziomków „ujarzmionych“ — oto miano steoretypowe — dla Romunów w monarchji austro węgierskiej nieustannie była wznawiana w prasie i śród publiczności, w czem „liga kulturalna“ z całą siłą ją popiera. Gdy prezesa klubu narodowego w Transylwanji dra Ratiu, Węgrzy poturbowali, gdy drugiego działacza, księdza dra Lucaciu, przez sąd przysięgłych na roczne więzienie skazali, w całej Romunji podniósł się jeden okrzyk zgrozy i oburzenia na barbarzyństwo madjarskie, posypały się setki telegramów, nowe zarządzono składki, rozliczne zwoływano zebrania w celu omówienia sposobów do energiczniejszej agitacji. Mimo to przecież ta gorąca, krzykliwa nawet młodzież umie zachować, gdy tego potrzeba, takt i rozwagę. Obecnie właśnie bawią w Bukareszcie przywódcy ruchu narodowego Romunów siedmiogrodzkich: dr. Ratiu, Lucaciu i Coroianu. Stronnictwo rządowe oczywiście jawnie od nich stroni, zato opozycja ostentacyjnie ich gości, młodzież zaś, mimo szczerej ochoty urządzenia im wspaniałej manifestacji, ograniczyła się na złożeniu im czci i poufnych naradach, ponieważ tak sobie życzyli owi wysłannicy, aby znowu nie być wystawionymi na napaść i prześladowanie Madjarów.

Oprócz młodzieży, kształcącej się na wszechnicach krajowych, przebywa przynajmniej z 400 Rumunów za granicą, po różnych uniwersytetach i wyższych zakładach specjalnych. Gromada ta tworzy pośrednie ogniwo z młodzieżą różnych krajów. Utworzyło się bowiem ogólne towarzystwo studentów całej Europy, podzielone wedle narodowości na sekcje. Bukareszt jest siedliskiem sekcji romuńskiej. Zrozumieć łatwo, jak szybko wskutek takiego zjednoczenia przenikają wszędzie nowe idee, nowe prądy, nowe pragnienia, jak żywą musi być w tem mrowisku ruchliwej młodzieży wymiana myśli i pomysłów. Zresztą każdej sekcji pozostawiona jest zupełna wolność działania i inicjatywy. Studenci rumuńscy podnieśli wprawdzie nie nową i trudną do urzeczywistnienia myśl federacji ludów na półwyspie bałkańskim. W roku zeszłym i bieżącym odbyły się dwa kongresy, na które zjechała się, prócz Romunów, młódź serbska, bułgarska i grecka. Wyników praktycznych nie ma, ani ich się spodziewać nie można było; zbyt to różnorodne, dzikie jeszcze i mało sobie znane żywioły, aby coś dodatniego z ich zetknięcia zaraz wynikło. Lecz czas i wytrwała praca i w tym kierunku utoruje porozumienie dla wspólnej korzyści.

W końcu lata r. b. zebrał się, jak wiadomo, w Bernie szwajcarskiem kongres interparlamentarny, na który tym razem pospieszyli delegaci wszystkich sejmów Europy. Młodzież akademicka romuńska zrozumiała, jaka to doskonała sposobność do nadania rozgłosu i najlepszy trybunał, przed którym należy wytoczyć sprawę „ujarzmionych“ współziomków na Węgrzech. Wysłała tedy niezwłocznie deputację ze swych „decemwirów“ złożoną, która temu zjazdowi obszerny memorjał w kwestji romuńskiej złożyła, a nadto uprosiła prezydjum, aby na porządek dzienny rzecz o uciśnionych narodowościach wogóle wstawiona była, w czem zeszła się z życzeniami polskich delegatów. Jako „curiosum“ nadmienić muszę, że w tej deputacji wybitne zajmował miejsce syn powstańca polskiego i emigranta z r. 1863. akademik St. Cichoschi, co ma znaczyć: Cichocki! Postępowaniem pełnem taktu, umiejętną, a pełną zapału obroną swych wniosków, młódź romuńska zniewoliła sobie większość członków tego zjazdu, a delegatów włoskich poprostu oczarowała, tak, że zaproszona przez nich z tryumfem przeprowadzona została przez północne Włochy w powrocie do domu. W tych dniach właśnie, solidaryzując się pośrednio z młodzieżą swoją, izba posłów w Bukareszcie uchwaliła jednomyślnie przesłać podziękowanie prezydjum kongresu interparlamentarnego za serdeczne przyjęcie deputacji akademickiej i moralne poparcie spraw, przez nią wniesionych. Ten jeden fakt dobitnie świadczy o zgodzie i szacunku, jakie panują pomiędzy starszem, a młodem pokoleniem. Pochodzi to stąd, że młódź akademicka w Romunji jest ze sobą jak najsolidarniej związana; stoi na uboczu wobec łamańców polityki codziennej, kierowanej koniecznymi względami dyplomacji wobec państw innych; nie przyjmuje żadnego udziału we walce pojedynczych partyj pomiędzy sobą; nie jest ani zwolenniczką rządu ani opozycji; nikomu z jej grona przez myśl nie przejdzie zapisać się w szeregi to konserwatywnych, to liberałów, lub sodalisów marjanowych, czy dzisiejszych filomatów. Młodzież ta, nie związana je-

szcze ani wymogami życia, ani nie krępowana stanowiskiem jakiemś towarzyskiem lub względami konwencjonalnymi, posiada swój własny sztandar i swe hasła: urzeczywistnienie we własnym narodzie ideałów dobra, prawdy, sprawiedliwości, piękna i moralności, których zaczerpnęła z nieprzebranego źródła nauki i poznania, z najnowszych prądów ducha stulecia naszego.

Cóż na to powie nasza młodzież, zwłaszcza w Galicji? Czy nie zarumieni się ze wstydu i upokorzenia? Czytałem niedawno żale i skargi, podnoszone przeciwko niej przez prasę, że jest zwiędłą, bez życia i energji; słyszałem głos takiego konserwatysty, jak W. hr. Dzieduszycki, nawołując młodzież do niesienia światła nauki pomiędzy tłum rzemieślniczy i chłopów, lecz widziałem tam też rozporządzenie uczonego rektora wszechnicy jagielońskiej, którem zakazuje pod srogą karą wszelkich związków młodzieży z towarzystwami rzemieślniczemi, a osłupiałem na wyrok profesorów politechniki lwowskiej, wyganiający studentów za to, że nie chcieli cierpieć pomiędzy sobą kolegi nieuczciwego; nie zapomniałem wreszcie o jadzie serwilizmu, sączonym przez lat tyle przez „Stańczyków“ w mózgi uczącej się młodzieży i — widzi Bóg — nie dziwię się, że zwiędła przedwcześnie, że nic nie warta. Potępić jej jednak nie mogę, albowiem zwiędłą jest wszechnica jagielońska, zwiędłymi uniwersytet i politechnika lwowska, zwiędłą autonomja krajowa, zwiędłą cała społeczność galicyjska! Nie tracę przecież nadziei, wierzę, że i ta dzielnica Polski ocknie się do nowego życia, odrodzi się — ale, na Boga! — nie narkotyzujcie młodzieży akademickiej, nie krępujcie jej polotu, dajcie więcej swobody, obdarzcie ją nawet wolnością zupełną i zaufaniem nieograniczonem, a wtedy stanie ona na równi, przewyższy rumuńską, bo posiada w dodatku świetną tradycję i wspaniałe dzieje narodowe, których tamtej brak!

Jassy 23. Grudnia 1892.

Dr. Łukaszewski.

JACENTY.

Dziwnym był ten pan Jacenty!
Wszystkim się podobać umiał:
Chwalił stare fundamenty,
Nowych gmachów głos rozumiał;
Idąc z chromym, sam utykał,
Nawet kozła z nim wywróci,
W dźwięk słowiczej pieśni wnikał
I uwielbiał głos koguci.
To też gdy się z życiem zgniewał
I na lepszy świat poskakał,
Żak nad ciałem rzewnie śpiewał,
A nad trumną djabeł płakał.

Kazimierz Gliński.

MODUS IN REBUS.

Obrazek z życia wiejskiego
przez
ADOLFA DYGASINSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Na co się zdały wszystkie usiłowania „drukarza“, kiedy żydzi pieniężni wymagali gwarancji, a Wyszmoński wcale jej nie dawał i uchodził za bicz boży na wierzycieli. Głównie beknął niejaki Gold z Bochni, który był synem jedynym starej Zylbrowej, lichwiarki; ponieważ dostał po matce znaczny kapitał, przeto go przemianowano z Zylbra na Golda. Aron Gold żył z początku w pewnej zażyłości z panem Ryszardem, pijał nawet w Krzepówku herbatę. Nieraz go też Wyszmoński odsyłał do domu w swoim koczu, zaprzężonym w cztery szpaki, co się żydowi niezmiernie podobało.

Ale ta zażyłość za wiele kosztowała Golda; miał on duży skórzany pugilares, a w nim setki kwitków i rewersów dziedzica Krzepówka. Przybiegał czasem żyd ów z Bochni, wpadał do dworu, rwał włosy i rozpaczliwie wyrzekał; wtedy pan Ryszard śmiał się i mówił:

— Jakiś ty głupi, mój Gold, przecież miej rozum!... Żebyś się ty tutaj zawzdychał i krwawemi łzami płakał, cóż to pomoże?

Potem dziedzic Krzepówka zakładał szkiełka na oczy, podchodził do zrospaczonego żyda, klepał go po ramieniu, a przez zęby cedził pieszczotliwie:

— Siadaj-no, Goldeczku, zaraz tu każę dać wina; wiem, że do francuskiego albo reńskiego żydzi nie mają pociągu; więc węgierskie słodkie, Tokaj — hę?... Słowo honoru, szabasowe wino; do tego rodzynków, czy gruszeczkę?... Widzisz, mnie zaraz lżej na sercu, jak ciebie zobaczę. Ja dobrze wiem, że drugiego życzliwszego dla mnie człowieka nie ma na świecie.

— Aj waj, jaśnie panie Wyszmoński, moje pieniądze! — jęczał Gold.

— Twoje pieniądze są u mnie; słowo honoru daję, że im tam lepiej, niż u ciebie; tyś, mój Gold, jest warjat i za duży ryzykant; gdyby nie ja, straciłbyś do tego czasu wszystko!... No, napij się szklankę wina, odetchnij, a potem pomówię z tobą o swoich interesach... Bo nie ma rady, musisz mi pomagać, za nadto solidarnie jesteśmy ze sobą związani!

I zawsze się na tem kończyło, że Gold dodał pieniędzy, a otrzymał nowy rewers. Nareszcie i ów izraelita stracił zupełnie zaufanie do Wyszmońskiego.

— Jaki ja głupi, jaki ja głupi! — wołał żyd. — Od innych pożyczałem, żeby jemu dawać i dawać... Po co mnie to było? Aj waj!

Pan Ryszard stał się teraz istnym pająkiem, czatującym na żydów; potrzebował on tylko do-

stać któregokolwiek pod swój wpływ, aby go uwikłać w siatkę swej polityki i ostatecznie „ubrać“, jak się wyrażał.

Więc doszło do tego, że ile razy się zjawił w Bochni lub innym okolicznem miasteczku, żaden kupiec nie przystępował już do niego z propozycjami, z obawy, aby się Wyszmońskiemu nie dał złapać.

— Oj, jaką on ma głowę, jaką on ma głowę! — mówili żydzi, cmokając językami. — Jemu nikt nie da rady!

A to znaczyło, że Wyszmońskiego żaden żyd nie zdoła oszukać.

Bywało, że kłopotami przyciśnięty dziedzic Krzepówka przez całą noc nie spał, rozmyślając nad sposobami zaciągnięcia nowej pożyczki. W myśli przechodził różnych ludzi i różne sposoby, nareszcie wpadał na genjalny pomysł, który nazajutrz rozwijał i urzeczywistniał.

Tak jednego razu kazał sobie rano przywołać pachciarza Icka, do którego przemawiał w te słowa:

— Słuchaj-no, drukarzu, już mi się sprzykrzyły te stosunki z chałaciarzami! Podłe to tałałajstwo; większej pożyczki od nich zaciągnąć nie można, lichwą mnie obdzierają i kredyt psują.

Nawiasem mówiąc, pan Ryszard płacił procent tylko wtedy, kiedy gotówkę brał do ręki; później żaden wierzyciel szeląga procentu w ciągu lat nie oglądał.

— Chcę raz wyjść z tych parszywych długów — mówił dalej do Icka — a że mi oto wpadło do ręki około trzydziestu tysięcy złotych, więc, o ile można, pospłacam najpilniejszych wierzycieli z Bochni. Jedźże mi zaraz do miasta i ogłoś wszystkim, którzy mają moje rewersa, żeby się tu stawili jutro, w piątek, o ósmej godzinie rano. Tak jest, jutro lub nigdy! Kto się spóźni, może nic nie dostać.

Drukarzowi aż oczy błysnęły z radości, bo i on miał dług u dziedzica do odebrania. Przez chwilę pachciarz zdradzał pewną wątpliwość; ale pan Ryszard przemawiał tonem człowieka, który ma nietylko silną wolę, aby działać, lecz posiada w ręku także bezzawodne środki działania.

Nazajutrz Wyszmoński, przywykły sypiać do południa, wstał bardzo rano, co wszystkich zdziwiło niepomiernie. Kazał sobie podać herbatę i, popijając ją, siedział bardzo poważny, zamyślony.

Dwór w Krzepówku miał facjatkę w szczytowej części dachu i tę pan dziedzic kazał zaraz z rana uporządkować; ustawić w niej duży stół, a także kilkanaście krzeseł; oprócz tego, służący z rozkazu pańskiego postawił na stole talerz pełen jabłek.

Nie było jeszcze trzech kwadransów na ósmą, a już we dworze pierwszy pojawił się Gold; wkrótce po nim przybył Djament, po Djamencie — Koteles, Krakowski, Słomnicer, Scheimann, Sarna, i inni. Pędzili oni jeden przez drugiego, to pieszo, to furmankami, mając nadzieję, że kto pierwszy dopadnie, ten najprzód dług swój odbierze.

Pan Ryszard, jak tylko spostrzegł Golda, zaraz rzekł:

— Widzisz, łajdaku, uważałem cię za swego przyjaciela, a ty razem z innymi szubrawcami rozgłaszałeś, że jestem niewypłacalny. Dziś się przekonasz, jak płacę i musisz odszczekać fałsze...

Gold skłonił się aż do kolan panu Ryszardowi, który pierwszy raz przemawiał do niego niezwykle ostro; zwyczajnie jak człowiek, któremu żal pieniędzy, gdy długi płaci. W podobny sposób przemawiał do wszystkich później przybyłych, irytował się, klął, wymyślał, co na żydów zrobiło znakomite wrażenie: byli pewni, że nadszedł czas wypłaty i swoje odbiorą, stąd zły humor pana dziedzica.

Gdy już Wyszmoński spostrzegł, że jego wierzyciele są w komplecie, przemówił do nich w te słowa:

— Nie mogę was nazwać kupcami; jesteście zgrają łotrów i oszustów, którzy mnie doprowadzili do tego stopnia niecierpliwości, że postanowiłem wyrwać się z waszej łajdackiej matni! Dosyć tego! Równie podłych żydów, jak w Bochni, nigdzie nie ma na świecie!...

Słysząc to, zgromadzeni wierzyciele poczęli kiwać głowami, jakby powątpiewali o prawdzie słów mówcy.

— Cicho, nikczemna kanaljo! krzyknął pan Ryszard. — Dziś was wezwałem nie na rozmowy i dysputy, lecz w celu uregulowania moich stosunków z wami, krwiożercze pijawki! Wybrałem dlatego piątek, ponieważ zaraz następuje szabas, dzień, w którym wam szachrować nie wolno, a więc będziecie mieli czas zajrzeć w swoje sumienia czarne i uczuć wyrzuty. Chciałbym, żeby to był sądny dzień, żeby was zaraz po obrachunku ze mną, Bóg pociągnął do odpowiedzialności!... Za mną łajdaki!

I dziedzic Krzepówka ruszył w korytarz ku schodom, wiodącym na facjatkę. Mowa, w której było przypomnienie sądu ostatecznego, sprawiła na żydach jakieś przygnębiające wrażenie. Wlekli się hurmem za Wyszmońskim, utykając i upadając na ciemnych schodach.

Skoro już doszli do kresu, pan Ryszard usiadł na miejscu naczelnem, położył obok siebie ogromny staroświecki pugilares, rozpęczniony, jakby od ukrytych wewnątrz bankocetli. (C. d. n.)

Z ruchu literackiego.

Jeremiasz Prorok, dramat historyczny przez **Michała Żmigrodzkiego.** W Krakowie, księgarnia Gebethnera i Spółki 1892.

Treść dramatu, powyższy noszącego tytuł, osnuta jest na tle historycznem, odgrywa się zaś w jednej — jak powiada autor w przedmowie — z najstraszniejszych

chwil dziejowych, mianowicie za czasów panowania żydowskiego króla Sedekijasza, gdy potężny niegdyś i szanowany naród izraelski dostał się w niewolę Chaldejczyków.

Na pierwszy plan swego dramatu starał się autor wysunąć potężną postać proroka Jeremiasza — mówię „starał się", bo w rzeczywistości zamiar ten został chybiony. Działalność Jeremiasza, który ma być bohaterem sztuki, równa się prawie zeru — polega bowiem na niczem więcej, jak tylko na wygłaszaniu sążnistych, ostatecznie nadzwyczaj nudnych tyrad przeciwko zepsuciu Izraela, który podeptał zakon boży, oraz na propagowaniu myśli, że naród żydowski nie powinien przeciwko napadającym go Chaldejczykom podnosić oręża, tylko kazać się jak baran poprowadzić w niewolę — za grzechy swych ojców i za grzechy własne. Teorja dobrowolnego dźwigania kajdan, dopóki się nad narodem nie zlituje Jehowa, teorja, przypominająca z jednej strony rodzaj rezygnacji chrześcijańskiej, z drugiej zaś strony, identyfikująca się z hasłami pracy organicznej (autor przez usta Jeremiasza zbyt widocznie przepisuje jęczącemu w niewoli narodowi drogi, jakiemi kroczyć powinien, drogi spokojnej, cichej pracy) — teorja ta jest idejową podstawą, na której zbudowaną została sztuka. Sympatyczna w biblji postać Jeremiasza staje się w dramacie pana Żmigrodzkiego mniej sympatyczną, niż sam król Sedekijasz i jego doradzcy, na których autor ciska gromy, a którzy, jak przystało na każdego uczciwego człowieka, posiadającego szczyptę dumy narodowej, nie chcą dobrowolnie zgiąć karku pod jarzmo wrogów, ale z orężem w ręku raczej zginąć pragną. Cel uświęca środki — oto hasło uchodzących dzisiaj z widowni życia organiczników, hasło to podjął na nowo pan Żmigrodzki i pod pokrywką tematu biblijnego wygłosił zasadę, że naród powinien dobrowolnie pójść w niewolę, której ostatecznym celem będzie nabranie nowych sił do życia samoistnego jakie z łaski Jehowy w przyszłości nastąpi. Teorja bardzo ślizka i jak wiemy z doświadczenia nawet się nie opłacająca (vide polityka Stańczyków, Telimeńczyków, Kościelskich etc.). W dramacie pana Żmigrodzkiego który nie posiada właściwie żadnych warunków scenicznych, będąc tylko dyalogizowanym traktatem społeczno-politycznym, jest przecie pewna ilość myśli i zasad sympatycznych. Autor wzywa do wciągnięcia w koło życia narodowego mas ludowych, bez których nie ma odrodzenia, występuje przeciw oglądaniu się na sojusze postronne, które nas zgubiły (nie ulega wątpliwości, że w dramacie pana Żmigrodzkiego pod narodem żydowskim należy rozumieć polski etc.). Pan Żmigrodzki, zaczerpnąwszy pod względem formalnym treści z dziejów biblijnych, powinien był zachować koloryt biblijny. Tymczasem w „Jeremiaszu" nie czujemy tego żaru, który wypełnia księgi proroków. Niesłychana rozwlekłość, brak akcji, brak bohatera (nie jest nim ani Jeremiasz, ani młody kandydat na proroka Baruk, ani kochanka jego Laja, ani król Sedekjasz, ani wreszcie lud) oto kardynalne wady dramatu pana Żmigrodzkiego, posiadającego jednak dużo sympatycznych stron (nie mających wszakże związku z istotą dramatu).

J. K.

Ludwik Marek

(wspomnienie pośmiertne.)

Na świeżej mogile Ludwika Marka, na mogile, kryjącej zwłoki niezwykłego artysty-muzyka, niech nam wolno będzie złożyć listek żałobny.

W środę, 18. bm. zamknął oczy na wieki Ludwik Marek spokojnie, bez walki w przeciwstawieniu do życia burzliwego, pełnego sukcesów i powodzenia, ale też obfitującego w zawody; w przeciwstawieniu do życia, pełnego upajających czarów i rozczarowań. Boć od tego był on artystą, by nie stąpać wyłącznie po różach. Takich dróg nie zna sztuka, a kapłani jej z ewentualnością tą liczyć się muszą.

Z Ludwikiem Markiem wstąpiła do grobu jedna z najwybitniejszych postaci polskiego artysty-muzyka, postać pełna talentu i siły, niemniej częstokroć słaba, postać jędrna, ruchliwa, pracowita, nerwowa...

Z nazwiskiem Marka ściśle złączone są dzieje rozwoju muzyki we Lwowie w ostatnich dwudziestu latach. Umysł ruchliwy nigdy nie dał spocząć Markowi. Inicjatywa, to jego hasło, energja, to jego narzędzie. Wierny hasłu a zbrojny w energję, pracował wytrwale i ze skutkiem. Jemu to tysiące uczni i uczenic zawdzięcza wydoskonalenie w grze fortepianowej, jemu setki nauczycielek rozproszonych w kraju zawdzięczają wykształcenie zawodowe. Chcąc ś. p. Marka należycie ocenić, należało go poznać z blizka, przypatrzeć się jego olbrzymiej uczynności, jego koleżeństwu nie znającemu granic. Gdy ktokolwiek, nietylko z muzyków, ale w ogóle z artystów, zapukał do Marka w potrzebie, z pewnością, wedle możności, znalazł i pomoc i pociechę. Tak było do dni ostatnich, chociaż stosunki materjalne ostatnimi czasy stawiały szczodrej jego naturze niepokonalne zapory.

Jak olbrzymią we Lwowie Marek cieszył się sympatją, tego dowód złożył imponujący udział żałobnej publiczności, w oddaniu mu ostatniej posługi. Dziś, gdy go nie stało, we Lwowie, da się uczuć w całej pełni brak tego niepospolitego człowieka. Chwilowo nikt go nie zastąpi, szczerba na długo otwartą zostanie.

Nad świeżą mogiłą opłakują, wraz z ciężko dotkniętą małżonką i córką, zgon Ludwika Marka wielbiciele talentu, odczuwający powołanie i potrzebę szlachetnej muzyki.

Mroźna ziemia kryje dziś zwłoki pełnego życia i zapału artysty, a na niej wdzięczne społeczeństwo składa swieże, wonne wieńce z róż i lauru. Oby pamięć Ludwika Marka po wsze czasy jaśniała tak żywym blaskiem, jak dziś łza gorąca w oczach strapionych jego przyjaciół.

Stanisław Meliński.
